

LIŚCIE NA WIETRZE c.d.

Praca ponad siły

Wszyscy dorośli zaczęli pracować w myśl hasła, które powiewało na komendanturze, że *kto nie robotajet, tot nie jest*. Co sprytniejsi „załapali” lżejszą pracę, choć prace w posiołku miały być dla osób chorych i po pięćdziesiątce.

Niestety, nasza mama, mimo znajomości języka i bardzo słabego zdrowia, została przydzielona do pracy w lesie. Była ładowaczem. Na siarczystym mrozie (tylko -35°C mogło zwolnić ludzi z pracy na powietrzu), bez spodni, bez ciepłych butów i rękawic pracowała z innymi kobietami nakładając na sanie potężne kłody syberyjskich świerków. W krótkim czasie miała naderwane, odmrożone i spuchnięte ręce. Bolały ją do tego stopnia, że nie potrafiła sama pozapinać guzików czy utrzymać łyżki. Od ciągłego bólu w plecach przestała się prostować. Kasłała i pluła krwią. Z niedożywienia wypadały jej piękne zęby. Mając niewiele ponad czterdzieści lat wyglądała jak staruszka.

Gienio ciągle leżał. Dziw, że go pluskwy i wszy żywcem nie zjadły. Euzebiusza bolała nadwyreżona od upadku za Ostrowem noga. Kolano puchło, a w pachwinie zrobiły się ropne rany.

Felczerka Marusia patrzyła bezradnie na jego cierpienie i mówiła:

- *Eto tubierkuloz, pani Tais.*

Leków nie było. Męczyła go gorączka. Czasami mama nie szła do pracy. Opiekowała się chorymi synami.

Euzebiusz jęczał z bólu. Tracił świadomość, a wtedy odmawiał po łacinie, całą mszę (był przed wojną ministrantem). Kiedyś gorączka opadła. Obudził się i patrzył przytomnie po baraku. Mama nachyliła się nad nim, powiedział, że śniły mu się dwa aniołki. One stały po jednej stronie Obilu, a po drugiej on. Zawołał na nie, żeby przeniosły go na swój brzeg, lecz one bez słowa odfrunęły bez niego. Mama obejmowała go i mówiła:

- Będziesz żył synu, nie umrzesz.

Taty prawie nie widzieliśmy. Wychodził w nocy i w nocy wracał. Prawie się nie odzywał. Z jego oczu wyzierała rozpacz. Często pracował po dwie zmiany, byśmy mieli za co kupić chleb. Było to ponad jego siły. Widział, że mama niknie w oczach, więc nie chciał, by pracowała. Mama zawsze była wątpła i delikatna. Teraz zaś były to kości powleczone skórą. Czasami tato kategorycznie zabraniał iść mamie do pracy, wtedy *diesiatnik* wpisywał *progól* i potrącał z *zarplaty*. Tato mówił:

- Nie martw się, wystarczy, że ja pracuję po szesnaście godzin. Ty lepiej leć do Siennik i zamień coś na jakiś kartofel czy cebulę. Dzieci nam giną.

Mama zrywała się skoro świt i biegła do siennickiego kołchozu (nie bacząc na mróz, zawieję i roztopy), z

przepustką lub bez. Przepustkę wydawano tylko raz w miesiącu, jeść się chciało codziennie. Do Siennik było około dwudziestu kilometrów. Za wyprawę bez przepustki groziła kara aresztu do trzech miesięcy. Pod wieczór wyczerpana i głodna, przynosiła wiadro kartofli, garnek cebuli lub kwartę mąki. Stęsknieni i głodni rzucaliśmy się na mamę, całowaliśmy ją i płakali ze szczęścia, że wróciła i coś przyniosła, już bowiem jakaś kobieta utopiła się w roztopach a mężczyzna zaginał w lesie.

Rzadko, lecz zdarzało się, że jakaś współczująca Rosjanka częstowała mamę szańgami lub pieczonymi kartoflami, ale mama tego nie jadła. Przynosiła nam.

Pewnego razu przyniosła mi szarobure walonki. Cieszyłam się nimi jak najdroższym prezentem. Wkładałam je na przemian to na ręce to na nogi, biegałam po baraku i głośno wołałam:

- Mama przyniosła mi „walonetki”.

Z dumą i radością pokazywałam je dzieciom, ale one zazdrościły mi i odtąd przezywały mnie „walonetki” - nie umiałam wymówić *waloneczki*.

Regularnie, raz w tygodniu, bez przepustki, chodziła mama do Siennik. Wymieniała co lepsze rzeczy na żywność. W taki sposób poszły nasze kochane krakowskie serdaczki, srebrne łyżeczki, palta, mamine nocne koszule, piękne, z lejącego się jedwabiu. W jednej z nich widziałam naszą nauczycielkę na zakończenie roku szkolnego. Wymieniała, co tylko się dało, by ratować nas przed głodową śmiercią. Zresztą był to rynek bez dna i

KRESOWE STANICE

choć było potwornie zimno, wymieniła także swoje futro, nasze palta i - na koniec - obrączki. Pewnego razu wracała zmęczona i chora i bała się, że zamarznie. Przepustki nie miała. Mroźny wiatr bił ją w twarz, a nieosłonięte ręce przymarzały do pałaka wiadra. Niosła swoją zdobycz i płakała. Nie chciała usiąść, bo bała się, że się już nie podniesie, a tu szybko zapadał zmierzch. Brakło jej sił. Zapukała do pierwszej z brzegu chaty. Weszła i padła na białą sosnową podłogę. Gdy ochłonęła na tyle, by coś widzieć, podniosła oczy i zobaczyła siedzącego przy stole mężczyznę w milicyjnej bluzie. Obok, na krześle, leżał pas z naganem. Zdrętwiała, lecz się nie przestraszyła. Czowała tylko, jak resztką krwi ucieka jej do stóp. Milicjant odsunął miskę, zapiął pas i podszedł do mamy.

- *A wy szto, bez propuska?* - spytał oschle.

- *Da* - wyszeptala mama patrząc mu w oczy.

Stał chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał. Obok w milczeniu stała jego żona.

- *Masza, ja jejo nie widiel* - powiedział i wyszedł z chaty.

Dostawialiśmy po pół kilograma chleba na dobę. Byliśmy tak głodni, że mogliśmy zjeść dwa lub trzy razy tyle. Chleb pieczono w formach. Była to ciężka, kleista masa. Pół kilograma to mały kawałeczek. Każde z nas chciało „całuszka”, czyli pierwszą kromkę, bo była przypieczona skórka. Jadło się dłużej. Kromki środkowe znikwały natychmiast. Tutaj byłam zawsze głodna. Ja, która w domu, na widok

pełnego talerza płakałam i chciało mi się wymiotować, teraz patrzyłam sepimi oczami na kromki, które podawała mama i płakałam, jeżeli nie była to przylepka. Klóciłam się, że któreś z nas dostało grubszą kromkę od mojej. To nie była prawda. Mama zawsze dawała mi więcej jedzenia niż innym. Byłam przecież najmłodsza. Dzieliła swoją kromkę między nas. Bez słowa wyciągałam rączkę i zjadałam maminią dolę. Bracia krzyczeli na mnie, że jestem bez serca, a mama mówiła:

- Ja już jadłam.

Wiedziałam, że nie, ale miałam spokojne sumienie.

Czasami chodziłam do stołówki, aby zjeść to, co zostawili Rosjanie, ale takich amatorów, jak ja, było więcej. Rodzice nie wiedzieli o tym, a tato chyba nigdy się nie dowiedział. Mama zobaczyła mnie gdy zjadałam resztki, jak pies, i zalała się łzami. Przeraziła się, że złapię jakąś chorobę, bo kilka kilometrów od Obila było tzw. *kiłowoje sielo*. Poszliśmy do pań Pluteckich (matka i córka pracowały jako kucharki) i mama poprosiła, aby dawały mi coś z kotła, żebym nie zbierała z talerzy. Panie Pluteckie były bardzo dobre i miłe. Co mogły, to nam dawały, ale nie było z czego. Musiały wyliczać się z porcji. Obie panie były syte, pracowały w ciepłe, wyglądały pięknie, nie jak kobiety pracujące na siarczystym mrozie. Pani Plutecka była już po pięćdziesiątce, ale wyglądała młodziej od mojej mamy. Patrzyłam na nią i żalowałam, że nie pracuje tutaj moja mama.

Panna Plutecka była śliczna: wysoka, szczupła blondynka o pszenicznych włosach i oczach jak bławatki. W Polsce była studentką. Poważna i grzeczna dla wszystkich. Zachowywała jednak dystans.

Nigdy nie wypędzała głodnych dzieci ze stołówki, ani nie krzyczała na nie. Co mogła, wsuwała nam do rąk i kazała szybko zjadać. Mnie cichaczem nalewała więcej zupy niż się należało.

Zalecał się do niej Gienek Kęsek, syn piekarza, też Polak, a ona, chyba z braku wyboru (mamie tak się wydawało), tolerowała go, a może się zakochała? Mnie Gienek lubił, starał się być dobry dla mnie, zwłaszcza wtedy, gdy chciał, żebym sobie poszła ze stołówki. Chciał być sam na sam z panną Gienią. Dawał mi kolorowe karmelki (przydział zamiast cukru) i grzecznie wyprowadzał za drzwi.

Dzięki pannie Gieni i Gienkowi mama dostała pracę w piekarni. O, było to zupełnie co innego niż praca w lesie. Nie musiała już stać tyle i godzin na mrozie. Sprzątała piekarnię i przynosiła z rzeki wodę. Wykonywała tę robotę sumiennie i dokładnie, choć nieraz płakała nad zamrożonym przereblem. Nigdy niczego nie wzięła z piekarni. Kęsek cenił mamę i chwalił przed komendantem, a Kęskowa dała mi sukieneczkę po swojej córeczce. Nie musiała wymieniać rzeczy na żywność. Ani ona, ani jej dzieci nie chodziły głodne.

Przychodziłam z mamą do piekarni. Nie wchodziłam, lecz siedziałam na progu, bo na drzwiach była wywieszka: *Postronnim wchod wospreszczon* i czekałam, aż mama

upora się z wiadrami z wodą. Nie było łatwe noszenie wody pod górę w dwóch ciężkich, oblodzonych wiadrach. Brzegi były strome, mama ślizgała się, padała. Przerębel zamarzał prawie natychmiast. Trzeba było niemałej siły, aby dostać się do wody. Woda chlustała na boki, wlewała się do trzewików, mokre ręce marzły i pękały na mrozie, odmawiały posłuszeństwa. Mama musiała obracać kilka, a nawet kilkanaście razy, aby nanosić dostateczną ilość wody. Nie skarżyła się. Przeciwnie. Bała się bardzo, aby nie stracić tej „posady”. Rodacy zawistnym okiem patrzyli jak to Taisowej „dobrze”.

Oboje Kęskowie lubili mnie. Byłam pociesznym dzieckiem. Wypytywali o różne rzeczy, a ja opowiadałam im o naszym wspaniałym życiu, o panu Żechaku, o pszczołach, o tym, że byłam „pańskim dzieckiem”, że mnie kiedyś koń pobił i płakałam.

Kęsek, żeby mnie pocieszyć, dawał kawałeczek chleba lub *podpalka* i mówił:

- Zjedz, tylko żeby nikt nie widział, bo będę miał nieprzyjemności.

Tym razem nie zjadłam, ściszałam w rączce „prezent” i czekałam na mamę, żeby się z nią podzielić. Coraz częściej zdawałam sobie sprawę, że jest głodna. Czasami wyprostowując się, padała, tak się jej kręciło w głowie i ciemniało w oczach. Przeważnie nie brała ode mnie ani kawałeczka.

- Zjedz sama, ja nie głodna - mówiła.

Pewnego razu, gdy tak siedziałam na progu, przyszedł sklepowy Paszka. Piekący się chleb tak pachniał, że nie

wytrzymałam i zaczęłam chlipać załośnie. Paszka popatrzył na mnie i splunął. Z obrzydzeniem i narastającą złością kłął i pluł na mnie. Zagroził Kęskowi, że jeżeli natychmiast nie wypędzi tego *parazita* z piekarni, to pożegna się z robotą. Krzyczał, że ja swoimi parchami zarazę cały posesiołek. Ciskał się i trząsał nade mną. Omal nie umarłam ze strachu. Nadbiegła mama. Zasłoniła mnie i starała się wytłumaczyć dlaczego tu jestem, ale nie było sposobu. Wypchnął nas obie za drzwi. Kłął i wyzywał nas nieludzkimi słowami.

Mama objęła mnie, przycisnęła do siebie. Delikatnie wycierała łzy i ślinę z mojej chorej twarzy. W baraku posadziła mnie na kufrze i roztworem kali przemywała mi twarz. Teraz rzeczywiście mogłam dostać jakichś parchów. Nie mogła mnie mama utulić. Nikt nigdy przedtem tak mnie nie sponiewierał. Obie gorzko płakałyśmy. Wieczorem poszła mama posprzątać piekarnię, ale Kęsek powiedział jej, że już tu nie pracuje. Zwróciła się do Tropina z prośbą, żeby pozwolił jej sprzątać piekarnię, ale nic nie pomogło. Siedział rozparty na krześle i ze złością mówił:

- *Wy że gramotnaja* - a tam jest wywieszka: „Obcym wstęp wzbroniony”, a pani przyprowadziła chore dziecko. Niech pani się cieszy, że kary nie płaci.

Stała biedna, zastraszona i przerażona, ale odważyła się i spytała:

- A Paszka, jemu też nie wolno wchodzić, a był i pluł na podłogę.

- Ach Paszka - i komendant machnął ręką. Paszka był sklepowym, co znaczyło wszystkimogącym.

Jego chamstwo raziło Polaków. On nie umiał mówić, kłął zawsze i wszędzie. Niestety, nauczyłam się tych słów i używałam ich także.

Kiedyś stałam z tatą po chleb. Była duża kolejka. Staliśmy na dworze, mżył lodowaty deszcz i zacinął wiatr, marzliśmy. Właśnie Kęsek przyniósł chleb do sklepu, a Paszka liczył bochenki rzucał je na półki jakby to były kartofle. Coś mówił i śmiał się pokazując żółto-czarne pieńki i kłął aż uszy puły.

- Wiesz Paszka - mówił Kęsek - mój Gienek chce się żenić, a ja uważam, że jest za młody, co ty na to?

Paszka bez namysłu i najmniejszej żenady odpowiedział:

- A ty weź jego ch... i przeciągnij do dupy, jak dosięgnie, znaczy dorosły, może się żenić - i zarechotał z własnego dowcipu.

Po incydencie w piekarni, Kęsek bał się Paszki i starał się być miły dla niego. Chcąc się przypochlebić też się zaśmiał. Lecz nikt z kolejki im nie zawtórował. Wszyscy - kobiety i mężczyźni - milczeli. Zaległa cisza. Paszka widząc, że nikt się nie śmieje, wrzasnął:

- *Czto nie nrawitsa wam, polskije pany?! - tu puścił wiązankę bez końca i ważył chleb w takim tempie, że nikt nie widział, ile faktycznie pokazuje waga.*

Bałam się go panicznie, więc do sklepu nie weszłam, czekałam na zewnątrz. Moja twarz nie goiła się wcale, a na skutek drapania czyraki

roznosiły się po głowie i ciele, zaschnięte napinały skórę, chodziłam jak manekin, nie mogłam ruszać głową ani w lewo ani w prawo. Było mi zimno, a tato ciągle nie wychodził. Myślałam sobie, że w Polsce nigdy po nic nie stałam w żadnym sklepie. Nie znałam słowa „kolejka”. Tego doświadczyłam tutaj. Czasami chodziłyśmy z siostrą do sklepu, ale nikt na nas nie krzyczał, nie oszukiwał. Marysia podawała karteczkę, a Bojko z uśmiechem kładł na ladzie wyszczególnione przez mamę towary. Pakował i dokładnie wydawał resztę.

... Szłam z mamą w Beresteczku, Żydówki wysuwały głowy znad lad i wołały do mamy:

- Pani Taisowa, niech pani wejdzie i zobaczy, co ja mam dla córeczki. Ach, jak śliczna panienczka, ona musi to mieć, ny, niech pani patrzy - i zakładały mi piękne paltko z pomponnikami, albo prześliczne czerwone buciki, albo mufkę, albo czapeczkę z puszystym kutasikiem. Zażenowana i szczęśliwa okręcałam się przed lustrem, a na wymowny gest mamy mówiły:

- Ny, po co płacić, pieniądze nie zając, do lasu nie uciekną, czy ja pani nie znam? Czy pani mnie nie zna?

Teraz stałam na zimnie chora i głodna, prawie bosa w dziurawej kufajce taty. Czekałam, aż tato kupi chleb i uszczknie mi kawałeczek, gdy będziemy wracać.

Ciągle chorowaliśmy. Śmierć, póki co, omijała naszą rodzinę, a wokół umierali starsi, dzieci i młodzież...

KRESOWE STANICE

Zbieraliśmy się w baraku gdzie leżał nieboszczyk i wspólnie modlili. Dziewczęta robiły wianki z jedliny, a chłopcy krzyż z brzoźek i przy wtórce płaczu rodziny (i nie tylko) niesiono sosnową trumnę na wysoki brzeg Obilu i chowano biedaka. Jedni płakali, że nigdy nie zobaczy Polski, a inni, że jego dusza jest już w Polsce. Za Polską tęskniliśmy wszyscy. Mogił przybywało coraz więcej: dużych, małych i jeszcze mniejszych.

Z naszych znajomych umarła pani Guzikowa zostawiając dwóch synów i niemowlaczka, który niedawno się urodził. Jej śmierć pamiętam dokładnie. Byłam u nich w baraku. Pani Guzikowa trzymała dziecko na rękach, coś do kogoś mówiła i nagle wypuściła je, upadła i już nie żyła. Mówili, że był to atak serca. Pan Guzik nosił synka na rękach i płakał. Potem malutki też umarł. Umarł Edzio Cwajna też z Pleszowej, przystojny, mądry uczeń gimnazjum. Pani Cwajnowa łamała ręce z rozpacz i mówiła:

- Chowam taki kwiat, moją radość i dumę, moją nadzieję, a kaleka żyje, (jej drugi syn). Biedna matka w swojej bezdennej rozpacz krzywdziła drugie dziecko, bo też była to rozpacz bez granic. Pani Jamuszowa podtrzymywała ją i mówiła:

- Cicho, nie mów tak. Nie kuś losu.

Umarła Wandzia Fajfrów, naszych sąsiadów z dolnej pryczy, a także sąsiadów sprzed wojny. Chyba była to niedziela na przedwiośniu. Było dosyć jasno. Leżeliśmy na pryczach, gdy nagle usłyszeliśmy pukanie. Zupełnie wyraźnie ktoś pukał w okno. Może to

był ptaszek, może gałązka uderzała o szybę, ale ludzie mówili, że to aniołek przyleciał po duszyczkę Wandzi. Dziecko miało zapalenie płuc. Rzęziło kilka dni i nocy i nad ranem umarło.

Na palcach można było policzyć rodziny, w których przez półtora roku nikt nie umarł. Dzięki mamie i ciężkiej pracy taty jako trzymaliśmy się. Praca była bardzo ciężka, a z powodu niedożywienia stawała się ponad siły. Głód i nędza siały spustoszenie wśród Polaków. Nie było narodzin. Jeżeli komuś urodziło się dziecko, było poczęte jeszcze w Polsce.

Piękne polskie dziewczęta były głodne, oberwane lecz dumne. Zjadały je wszy i pluskwy, ciężko pracowały, ale nie poddawały się losowi. Niektóre miały swoich chłopców, lecz była to miłość platoniczna. Były godne podziwu.

Pamiętam choćby pannę Gienię Plutecką. Jakaż ona była piękna i wykształcona i gdyby chciała nie musiałaby usługiwać rugającym się *lesorubom* i wozakom. Niejeden *naczelnik* gonił za nią wzrokiem, bo też była jak magnes. Jednak nikt nigdy nie powiedział na nią złego słowa, panna Plutecka była poza wszelkimi podejrzeniami.

Jedna tylko Stasia A. nie miała dobrej sławy. Więcej złego niż było prawdy, zrobiły ludzkie języki. Stasia sprzątała komendanturę. Była młoda, pełna temperamentu. Komendant Tropin też był młody. Z westchnieniem wspominał Jankę Berchertównę, ale... był młody, a Janka Bóg wie gdzie. Stasia była nie do pogardzenia. Malutka, krąglutka, o dużych

orzechowych oczach i bujnych rudych warkoczach, wyglądała jak świeży pączek. Stasię musiało się kochać. Była do tego stworzona. W odróżnieniu od panny Gieni, Stasia była zawsze wesoła. Często się śmiała ukazując drobne, białe ząbki i śliczne dołeczki w różowych policzkach. Stasia miała szesnaście lat i niewiele oleju w kształtnej główce. Ludzie obmówili ją dlatego, że jako pierwsza z Polek wyszła za mąż za Rosjanina. Kiedy Tomcio Herba żenił się z Marusią, nikt niczego złego o nim nie mówił. Podśmiewali się tylko. Stasia miała wrogów. Dlaczego?

Polacy na Obilu cieszyli się dobrą sławą. Nie było donosicielstwa, przypochlebiania się ani służalczości. To samo dotyczyło dzieci. Uczyliśmy się wspaniale. Nauczycielki (były dwie) nie mogły się wprost nas nachwalić. Zdumiewała je nasza dobra nauka. I kiedy zbliżał się 1 maja czy 7 listopada, polscy uczniowie zgarniali wszystkie nagrody. Może dlatego, że były *to prianiki* i cukierki, a nam ciągle chciało się jeść. Tak czy owak byliśmy pierwszymi uczniami w *siennickom sielsowietie*.

Nie wiedziałam, że niektórzy młodzi ludzie (przeważnie byli studenci lub oficerowie) zbierali się w największej tajemnicy i naradzali nad sposobem wydostania się stąd. Śmierć kosiła, a oni chcieli uciec przed nią. Kiedy wszystko mieli przygotowane znalazł się ktoś, kto doniósł Tropinowi o tajemniczych spotkaniach. Jakież przerażenie ogarnęło Polaków, gdy pewnego deszczowego dnia na wiosnę, pojawili się na koniach enkawudziści.

Z kamiennymi twarzami bez słowa, wchodzili do baraków. Jeden wyczytywał nazwiska a inni „podejrzanym” wiązali do tyłu ręce i wypychali za drzwi.

Kobiety czołgały się koło końskich kopyt i błagały, by nie zabierano podejrzanych, lecz enkawudziści siedzieli w siodłach wyprostowani z naganami gotowymi do strzału. Nawet nie spojrzeli na zrozpaczone Polki. Matki i żony biegly po gliniastym błocie i wzywały drogie im imiona, wznosiły ręce o zmiłowanie do Boga i do - enkawudzistów. Sporą grupę młodych mężczyzn potaszczono za końmi. Zapamiętałam dwóch - Majkę i Sierockiego.

Do płaczących wyszedł komendant i powiedział, że wszystkich to spotka, jeżeli nie przestaną działać przeciwko władzy radzieckiej. Kazał rozejść się i poszedł. Ktoś zobaczył Stasię i krzyknął, że to ona doniosła. Chciano ją ukamienować. Poleciała na nią gruda zmarzłej ziemi. Stasia próbowała uciec. Poślizgnęła się i upadła, a wtedy posypały się na nią kamienie i bryły lodu. Stasia klęczała w błocie, wznosiła ręce do nieba i klęła się na wszystkie świętości, że to nie ona. Lecz doprowadzone do ostateczności kobiety nie słuchały jej. Byłyby pewnie ją zabiły, gdyby nie nasza mama. Widząc na co się zanoszą, krzyknęła:

- Zostawcie to dziecko, czy nie widzicie, że ona jest niewinna. Wskoczył Tropin z komendantury i strzelił w górę. Wszyscy stanęli jak wryci. Mama podnosiła Stasię, a ona całowała mamine ręce i zalewała się

łzami. Wstała z kolan i poszła za komendantem. Ludzie rozchodzili się w ciszy i spokoju. Ja zapamiętałam jej rozplecione rude włosy. Okrywały ją jak płaszcz, sięgały do ziemi.

Zacząło pachnieć wiosną i lody na Obilu puściły. Ze wszystkich pagórków i wzniesień powoli spływał śnieg do niewielkiej rzeki. Obil stawał się groźny i potężny. Strach ogarniał, kiedy patrzyłam na żółte, spienione wody. Mężczyzn zabierano z lasu. teraz spławiali drewno. Jak wróble przeskakiwali z kłody na kłodę i długimi *bagrami* (harpunami) popychali piętrzące się bale. Tato też spławiał drewno. Widziałam jak mężczyźni wpadali do lodowatej wody, przygniatały ich kłody, a inni spieszyli im na ratunek. Wydobyci z wody często dalej pracowali, nie „czuli” zimna, ale były to tylko pozory. Taka „kąpiel” robiła swoje. Taką kąpiel przeszedł Bolek Lis - nasz sąsiad z baraku, młody, delikatny chłopiec. Dostał zapalenia płuc, potem gruźlicy. Po siedmiu tygodniach nie było już Bolka. Wszyscy z baraku go opłakiwali. Starszy brat Bolka umarł w parę miesięcy po nim. Podobno nerki mu się oberwały. Tak mówiono. Rzuciło nim tak że trzęsła się prycza, a nieszczęśliwy dusił się poranionym językiem. Pani Lisowa trzymała na kolanach ciało to jednego, to drugiego syna i z bezdenną rozpaczą, suchymi oczami patrzyła w ich martwe twarze. Zostali jej jeszcze Bronka i Mietek. Bardzo żalowaliśmy obu młodych Lisów.

Na wiosnę chodziliśmy do lasu po zeszlóroczną żurawinę. prócz żurawin

pojawiły się dziwne grzyby. Ludzie mówili, że to są smardze. Mnie one przypominały purchawki, tylko że były czarne. Zbieraliśmy te grzyby, gotowali, jedli i ciężko chorowali. Mama zabroniła nam je zbierać.

Kiedyś poszłam do lasu z Marynią i grupą dzieci. Była wczesna wiosna. Gdzie niegdzie leżał jeszcze śnieg, ale już pachniała czeremcha. Zbieraliśmy żurawiny. Nie wiem kiedy odłączyłam się od dzieci. Nagle stwierdziłam, że jestem sama. Zaczęłam wołać, oglądać się, biegałam w kółko i krzyczałam, ale nikt nie odpowiadał. Przeraziłam się. Tajga była straszna i groźna w swej potędze. Jak oszalała biegałam przed siebie. Nie myślałam, dokąd biegnę i co będzie ze mną, jeżeli nie znajdę posiołka. Grozą napawały mnie powyrywane z korzeniami potężne świerki. Wiedziałam, że w ich wyrwach gnieździły się niedźwiedzie. Ciągłe biegałam. Drogę zastąpiło mi jakieś gliniaste jezioro bez dna. Skręciłam byle gdzie i dalej biegałam płacząc w niebogłosy. Potężne drzewa szumiały obojętnie nad moją głową. Myślałam o mamie, bałam się że oni wyjechali do Polski, a mnie na pewno zjedzą niedźwiedzie czy wilki. Byłam u kresu sił, cała mokra od kałuż, śniegu i łez. Upadłam, a kubeczek potoczył się gdzieś dalej. Nawet go nie szukałam.

W lesie pociemniało. myślałam tylko o mamie, głośno ją wołałam. Nagle usłyszałam sapanie i zdrętwiałam. Przystanąłam i wyraźnie zobaczyłam ziewającego niedźwiedzia. Na oślep rzuciłam się do ucieczki. Nie wiem, skąd wzięłam nowe siły, ale biegałam i biegałam. Znów na drodze

stała mi brązowa woda, znów skręciłam i biegłam dalej. Potknęłam się czy poślizgnęłam i upadłam. Usiadłam na mokrym mchu i obejmowałam rozbitą nogę. Niedźwiedzia nie było. Nie wiem, czy w istocie był, czy mi się tylko zdawało.

Wstałam i pokuśtykałam dalej. zapadał zmierzch, a ja byłam sama, zagubiona, głodna i obolała w nieprzebytej tajdze. Całkiem zrezygnowana szłam przed siebie byle iść, już nawet nie płakałam i nie omijałam kałuż.

Po jakimś czasie zobaczyłam baraki, a na jednym z nich wisiała flaga. Napotkaną kobietę zapytałam, co to za posesja. Odpowiedziała, że Obil. znów zaczęłam płakać. Rosjanka podeszła do mnie i spytała:

- A ty czyja jesteś?

- Biegnę do mamy, zgubiłam się w lesie - powiedziałam i pobiegłam dalej.

Nigdy w tej stronie posesji nie byłam, więc nie poznałam Obilu. Poszliśmy na jagody w zupełnie innym kierunku za cmentarz, a wróciłam z przeciwnego. Nie wiem, jak wielki zrobiłam krąg. Krzyczałam ze wszystkich sił „mamo” i biegłam do naszego baraku. Nagle ktoś odwrócił się pod cmentarnym wzgórkim i stanął. To mama i Emil. Poznałam, a raczej wyczułam że to oni. Mama miała ciepłą chustkę na rękę i zawiniątko w ręce. Szli szukać mnie tam, dokąd udaliśmy się rano. Usłyszeli moje wołanie. Emil biegł do mnie, a mama stała. Chwyił mnie i przyniósł do mamy. spojrzałam i nie poznałam mamy, miała twarz całkowicie spuchniętą od płaczu.

Jakimś cudem trafiłam na posesję, inaczej nigdy by mnie nie znaleziono. Nie przyszłoby im do głowy szukać mnie w innym kierunku niż tam, gdzie wskazywała Marysia. Emil przyprowadził mnie do baraku. Mama zdejmowała ze mnie mokre ubranie i nacierała ręcznikiem. Tato nie wrócił ze spławu. Euzebiusz i Gienio leżeli chorzy, a obok nich zziębnięta i przerażona Marysia.

Wieczorem okazało się, że tato jest ciężko chory. Nabawił się przepukliny. Przy spławie drzew nadwyręził się jeszcze bardziej i tak go bolał brzuch, że ledwo dowlókl się do baraku. Podwiązywał się pasami, które sam sobie robił z uprzęży, ale niewiele to pomagało. Przepuklina stawała się niebezpieczna. Marusia wypisała mu skierowanie do Siennik *do bolnicy*, ale poleżał dwa dni w domu i poszedł znów do roboty.

Na wiosnę kobiety posłano na sianokosy. Jak bardzo przedtem czekaliśmy wiosny, tak teraz znieciercieraliśmy ją. Wraz z promieniami słońca pojawiły się komary. Łąki były pełne kwiatów-olbrzymów, a las ptaków, ale na te uroki nikt nie zwracał uwagi. Plaga komarów i czarne małe muszki nie dawały żyć. W baraku od duchoty i pluskiew nie można było spać, a na strychu muszki wyjadały oczy, wślizgiły do ust i nosa. Było to jakieś przekleństwo. Nikt nie znał sposobu, jak bronić się przed tą zagładą. Moskityer...? Rosjanie nie wiedzieli nawet co to w ogóle znaczy! Wszyscy drapali się, rozdrapywali ukąszenia, które zamieniały się w rany

pokrywające ciało. Nie było żadnych leków! Nieszczęsna Marusia smarowała *margancówką* wszystko, co kogo bolało, niczego więcej nie miała. Z nędzy i niedożywienia, z ciężkiej pracy, dorośli, potem dzieci dostali kurzej ślepoty. Wieczorem chodzili jak niewidomi. W naszej rodzinie, prócz mnie, wszyscy na to chorowali. Na polecenie Marusi komendant wypisał wątrobę, miała leczyć kurzą ślepotę, ale skąd ją brać?

Kiedyś starosta naszego baraku wrócił od komendanta i powiedział tacie, że ma się zaraz stawić w komendanturze.

Był wieczór, tato nic nie widział, zresztą leżał już na pryczy po ciężkim dniu. Starosta nalegał. Ubrał się więc i powiedział do Marysi: „Zaprowadź mnie tam córeczko”. Marysia wzięła go za rękę. Sama też zaczynała dostawać kurzej ślepoty, więc ja poprowadziłam ich obydwój, jak ślepców. Komendant był zły i wrzasnął:

- Dlaczego nie posyłasz dzieci do szkoły?

Tato nie miał pojęcia, że nie chodzimy do szkoły. Nie mieliśmy w czym. Powiedział do niego, że jemu to nie w głowie, że myśli o tym, iż wszyscy jesteśmy chorzy, że dwaj starsi synowie od miesięcy nie wstają, a on chciałby wszystkie dzieci dowieźć do Polski, a w ogóle to razem świń nie paśli i tato dla niego „pan” i byle „co” nie będzie na niego głosu podnosić.

Komendant walnął pięścią w stół i ryknął:

- *Snitsia tiebie twoja gnitajaja Polsza, znaju ja was izmienszczykow. Uwidzisz ty jejo kak swoje ucho.*

Polskę tato kochał ponad wszystko. Słowa komendanta śmiertelnie zraniły jego uczucia patriotyczne. Poderwał się, przez biurko chwycił komendanta za kłapy i rzucił nim o ścianę, mimo głodu i wycieńczenia był bardzo silny. Wtedy komendant złapał nagan i wycelował w tatę. Narobiłyśmy wrzasku. Wbiegła Stasia, krzyknęła: *broś, broś* i stanęła między tatą a komendantem.

- Panie Tais, niech się pan uspokoi - błagała.

Bez oporu poszedł tato do aresztu, a my z płaczem do mamy. Następnego dnia tato wrócił do baraku. Nie wiem, czy to nie Stasi zasługa, ale NKWD nie przyjechało.

Głód dokuczał coraz bardziej. Mama nie miała już co wymieniać na żywność. Wycieńczenie, gruźlica i szkorbut dziesiątkowały rodziny. Straszliwie męczył świerzb. Niemal stałym gościem była śmierć. Założony na wysokim brzegu cmentarz rozrastał się coraz głębiej w tajgę.

Mama dowiedziała się, że Łukijka, kołchoznica w Siennikach, potrzebuje niańki. Poszłam więc niańczyć jej panieńskie dziecko. Kołysałam je i płakałam. Wcale nie byłam mniej głodna niż u mamy. Łukijka wydzielała mi porcję. Mieszkała z ojcem, wydawał mi się starcem, a miał podobno 44 lata, i niewiele starszym ode mnie debilnym bratem. Ojciec i syn nie odzywali się do mnie. Nie istniałam dla nich. Było mi smutno i strasznie. Najbardziej bałam się, kiedy

Łukijka klóciła się z ojcem. Obrzucali się takimi wyzwiskami, że żegnałam się przerażona. Jakby mało było tych plugastw, Łukijka wypinała goły tyłek na ojca i kazała się właśnie tam całować. Ojciec nie pozostawał dłużny, rozpinął rozporek, wkładał rękę i wołał: *na pososi da tri goda nie prosí*. Dziecko darło się jak obdzierane ze skóry, ja płakałam, a brat, czy syn, jak kto woli, chichotał śliniąc się obrzydliwie. Bili się i wyzywali niemal codziennie. W nocy ojciec zląził z pieca, załatwiał się do wiadra w kącie izby i lał *na polati* do córki. Nie krępowali się mnie zupełnie. Słyszałam, jak Łukijka mówiła: „Ty stary diable, znów mi zmachasz *bajstruka*”.

Ja miałam miejsce na ławce pod ikonami. Tu spałam, aby mieć dziecko w zasięgu ręki, gdy będzie płakać. Miałam już dosyć tego życia.

Rankiem, poczekałam aż Łukijka poszła do pracy, cichutko wyszłam, zamknęłam drzwi na miotłę i z płaczem biegłam dwadzieścia kilometrów z powrotem do mamy. Nie zastanawiałam się, co stanie się z dzieckiem. Sama przecież nim byłam, a tak ciężko doświadczonym. Takich scen nigdy nie słyszałam ani nie widziałam u nas, *na posiołku*, czy w baraku.

Weszłam do baraku, rzuciłam się tacie na kolana i spazmatycznie szlochałam. Tato rozcierał moje przemoczone nogi i milczał. Potem powiedział do mamy, że w mamie odzywa się krew jej prababki, chłopki pańszczyźnianej, z którą ożenił się szlachcic, ale ona wciąż miała duszę

niewolnicy i to przeszło na mamę. Mama zapłakała i odpowiedziała, że wolała oddać mnie na niańkę niż żebym zebrała czy kradła. Zresztą nie doszłoby do tego, gdyby nie następujący incydent, który się wydarzył.

Tato jadł śniadanie, jakąś straszną wodnistą lurę ze stołówki, a ja siedziałam i patrzyłam jak podnosi łyżkę do ust. Połykał zupę, a ja ślinę. Nagle rozplakałam się. Tato spytał:

- Czemu płaczesz? - a mama odpowiedziała ze złością:

- Bo głodna.

Tato odłożył łyżkę, pochylił głowę na rękę i płakał. W niedługim czasie mama znalazła mi to miejsce u Łukijki. Nie zdawała sobie sprawy, że to bagno, przecież ikona wisiała w kącie i oni modlili się do niej.

Tymczasem kobiety poszły na cały tydzień kosić łąki z dala od *posiołka*. Mama też musiała iść z nimi. Nie umiała kosić, muszki i komary wyjadały oczy a *diesiatnik* krzyczał i popędzał. Muszki wpijały się w ręce i nogi, robiły się krwawe rany. Nogi mamie puchły jak kłody, głowa bolała, miała zawroty i omdlenia, ale musiała kosić. Wiosna i lato są krótkie, więc trzeba się spieszyć z zebraniem siana. Nikogo nie obchodziło, czy ktoś może pracować, czy nie. Trzeba było i koniec.

Zostaliśmy sami i zrobiło nam się bardzo smutno i bardzo źle. Nie mogliśmy się doczekać, żeby mama wróciła, żeby już była sobota, choć był dopiero poniedziałek czy wtorek. Marzyliśmy, że kiedy mama wróci, zaraz coś dobrego ugotuje, może

KRESOWE STANICE

upieczce... Po tygodniu wracała, a nam trudno było ją poznać. Nos i usta były spuchnięte, nie było prawie widać chorych oczu. Nie miała z czego ugotować nam jedzenia... Nie było co jeść. Nędzny *pajok* chleba trzeba było dzielić na trzy posiłki i chować zamknięty w kufrze. Mama zabierała nas i razem szliśmy do lasu na poziomki lub jagody. Chcąc nasze myśli odsunąć od jedzenia opowiadała nam o sobie. Może to wydać się dziwne, ale najczęściej opowiadała o pierwszej wojnie światowej.

Miała wtedy siedemnaście lat. W dworku mieścił się austriacki sztab dowodzenia. Pomimo, że zajęto ich dom i bitwy były tuż tuż, mama wspominała to wszystko z wielkim rozrzewnieniem. Oficerowie byli niezwykle grzeczni i kulturalni. W niedzielę razem jeździli na mszę do Beresteczka, a wtedy podawali mamie święconą wodę i wspólnie słuchali mszy. Wszyscy ją adorowali. Była zachwycająca. Gdzież te czasy, gdzież te lata - myślała głośno mama, Niekiedy śpiewała nam piosenki z tamtych lat. Zaśmiała się i opowiedziała, jak to tato przyjechał oświadczyć się. Siedzieli wszyscy przy stole, a tacie zaschło w gardle. Nie mógł mówić. Babunia zawołała:

- Tekluniu podaj panu ułanowi wodę. Dziewczyna włożyła palec do szklanki i niesie. Babunia z przerażeniem - Tekluniu, na podstaweczce! Dziewczyna weszła bez szklanki ze spodkiem pełnym wody. A

babunia - pan oficer nie jest kotkiem. Teklunia prasnęła spodkiem o podłogę i wybiegła.

Wspominała żniwa u nas w Ostrowie. Tato zaprzęgał konie do drabiniastego wozu i jechał do Beresteczka po żeńców. Tam na rynku z sierpem na ramieniu stała przodownica Biernacka z zastępem dobranych żniwiarek i czekała na tatę. Nigdy nie przekupił jej ani połowy od hrabiego Łasina, ani od Sokołowskiego. Czekala na pana Taisa. Nie ma co się dziwić, u nas zarabiała szesnaście kg zboża na dzień. Łatwo policzyć, ile zarabiały kobiety za okres żniw. Z robotą nie marudziły. U dobrego gospodarza zboże musiało być zebrane do Matki Boskiej Zielnej. Co wieczór tato odwoził kobiety do domu, a następnego dnia znów przywoził. Po pracy siadały przy stole pod lipą i wolno majestatycznie jadły. Do domu dostawały biały ser, czasami miód i wiśnie. Ani u hrabiego, ani u dziedzica nie miały tak.

Na 15 sierpnia żniwa przeważnie były skończone. Wtedy nakładały tacie wieniec zbożowy i śpiewały piosenki chodząc w korowodzie. Życzyły zdrowia i szczęśliwego spotkania w roku następnym. Bardzo lubiłam to święto.

... Wieczorem wróciliśmy do obscurnego baraku. Kłódki na kufrze nie było. Chleba w kufrze też...

cdn.